

**publicystyki**

**N**AJPRZÓD parę pewników. Pierwszy z nich brzmi, że „Nie-Boska komedia” Kraszińskiego jest szczytowym dziełem polskiej dramaturgii, jednocześnie osobliwym na tle polskiej twórczości w dobie romantycznej, bo z wyraźną przewagą ładunku intelektualnego nad emocjonalnym. Drugi pewnik to, że — jak „Faust” i „Dziady” — nie da się ona zmieścić inscenizacyjnie w ramach dzisiejszego standardowego czasu dla przedstawień. Gdyby chciało się uszanować cały tekst, trzeba by grać albo cały dzień (z ew. przerwą obiadową), albo przez kilka wieczorów, co praktycznie jest dzisiaj trudne. Każda więc inscenizacja musi być niepełna. Ładunek zaś treściowy czyni eliminację bolesnymi. Jest więc to jedno z dzieł ~~niezwykle~~ **niezwykle najtrudniejszych**.

Z tą trudnością realizacyjną wiąże się, niestety, łatwość krytyki. Wobec tego, że realizatorzy teatralni muszą pewne wątki wybrać kosztem innych, cóż z kolei prostszego, jak naśladować owych krytyków literackich, którzy ganią książki nie za to, co w nich jest, ale za to, czego nie ma!

Lidia Zamkow, reżyserując „Nie-Boską” dla Teatru Powszechnego w Warszawie, poświęciła z tekstu znaczną część wątku osobistego, rodzinnego, na rzecz ocalenia w większej, proporcji wątku społecznego. Takiego ustawienia akcentów ani myślę ganić, żeby nie ośmieszać się jak wspomniany krytycy. Także po wzięciu kolorytu lokalnego (scenografia A. Sadowskiego, kostiumy M. Dobrowolskiego, choreografia Wandy Szczuki) zaniechanie traucyjnego zestawienia sankiuloci — wandejczycy na rzecz umiędzarczenia akcji raczej na terenach karpackiego podgórze da się uzasadnić, przynajmniej teoretycznie.

Niestety, jednak kostiumy zbyt trąca Cepelią, a to już jest uwaga na temat tego, co w przedstawieniu jest, a nie czego nie ma! Także nie obeszło się bez tak sakramentalnie obowiązującej w obecnych zwyczajach teatralnych i już zbanalizowanej chwili nagości.

**M**OGLISMY się tego spodziewać, jako że Leonard, grany z zapałem przez Janusza Bukowskiego i Kaplan nową religii, grany ze skupieniem przez Jana T. Stanisławskiego, przeciw mają do dyspozycji dziewięć-kaplanek. Ale w tej roli Joanna Żółkowska ukazała się w cielistoróżowych trykotach i wianuszkach kwiatnych w stylu rokokowym. W kompletnym obnażeniu się zastąpiła ją wynurzająca się z tłumy zakonnica, zrzucająca habit, który jednak natychmiast został na nią narzucony

przez widocznie bardziej pruderyjne inne „kobiety wolne”. Wśród nich Elżbieta Kępińska szarpaninę ze strojem ograniczyła do wyzwolenia się z krepującego gorsetu, który z kolei bardzo zainteresował Kobiętę spod szubienicy graną przez Izabelę Wilczyńską. Więc otarliśmy się już o farsę, co przeszkadzało w porozumieniu między sceną a widownią.

Jedną z jaśniejszych aktorsko chwil w przedstawieniu była gra Edmunda Fettinga w roli Hrabiego Henryka. Wiadomo, że Krasziński chciał stworzyć uogólniającą sceniczną panoramę na temat rewolucji jako takiej; stawiając sobie za cel historyczny obiektywizm. Lecz co innego zamiar, co innego efekt. Jako twórca dzieła pisarskiego, nie mógł się pozbyć subiektywizmu, bowiem nie ma dzieł artystycznych absolutnie obiektywnych, chyba że martwe. A „Nie-Boska” nie jest martwa. Nutę osobistej sympatii autora — współczucie połączone z szacunkiem dla niekapitulującego rycerza klęski — Fetting przekazał bezbłędnie, a scena z Orciem, wzruszająco zagrany przez autentyczne dziecko, była jedyną oklaskiwaną tego wieczoru, gdy byłem na przedstawieniu.

**O**SOBNA sprawa jest Pankracy w wykonaniu Leszka Herdegena. Zbyt go cenię, żeby chwalić zdawkowo. Wziął na barki rolę kapitalną. Oczywiście ją udźwignął. A jednak miało się niedosyt. Przecież mógłby być lepszy, lecz nie jako Pankracy, ale... Hrabia Henryk. A gdyby pójść jeszcze dalej, cóż by to był za generał Blanchetti z całą świadomością całkiem ścisłych celów osobistych, innych niż te ogólnikowe wizje wspólnego świata, które marzą się Pankracemu.

Najkropotliwszą sprawą dla inscenizatorów jest zakończenie sztuki. I chyba jeszcze żadne ujęcie teatralne w pełni nie zadowoliło znających tekst, to znaczy niemal wszystkich widzów. Tym razem także trudno powstrzymać się od krytyki, tym bardziej że nie dotyczy tego, czego w przedstawieniu nie ma, ale co jest. Rozbudowanie scenicznego końca sztuki, przedstawiającego załamania się zwycięskiego w planie historycznym Pankracego, traci wiele, gdy potraktuje się rzecz publicystycznie, czy to w formie afirmacji (fidelistycznej), czy krytyki (pobudliwej). Pankracy upada pod brzemieniem zwycięstwa skonfrontowanego z wiecznością. Oszczędność wizualna najbardziej tutaj odpowiada oszczędności tekstowej. Obraz końcowy zaproponowany przez inscenizację w Teatrze Powszechnym natrętnie kojarzy się z „Weselem” Wyspiańskiego. Wprowadza publicystykę nie z tej parafii i nie na ten temat. Kosztem tego zostaje zubożony sens zakończenia „Nie-Boskiej”, jakim ma być chyba konfrontacja wymiaru historycznego z wymiarem ponadczasowym, nie zaś mierzenie się do różnych sił witalnych z doraźną słabością rewolucji.

**JERZY ZAGÓRSKI**